

# Marek Sztarbowski: \* Poemat o Zofii \*

*Gdyby ktoś pomyślał, że przy dzisiejszych  
Imienninach zapomniałem dodać do mojego  
Imienniczka Zofii, to nie, jakżebym mógł.  
A jeśli uda mu się doczytać do końca,  
zrozumie, że jest to Imię Ostateczne,  
imię w którym zawierają się  
wszystkie inne imiona:*

## **\* Poemat o Zofii \***

Monika, Katarzyna, Anna, Ludmiła  
były dla mnie ujęciem tego samego pejzażu  
fragmentem południa, północy, wschodu lub zachodu.

Od dziecka podchodziłem do kobiet nadzwyczaj systematycznie,  
toteż moją pierwszą miłością obdarowana została przedszkolanka  
Al(f)a, w pierwszej klasie szkoły podstawowej gospodarz klasy  
ruda Be(a)ta, a w drugiej, kiedy zaczynała narastać we mnie  
muzyka, Gam(m)a z oczami w zielonkawym c-dur, zaś w trzeciej dELtA,  
bo wszystkie moje ówczesne myśli i marzenia kończyły się na niej.

Mógłbym pisać o swoich miłościach bez końca, może właśnie  
dlatego, że trwały tak krótko? O chwilach, jak interwały  
wieczności, kiedy z Lamb(a)dą tańczyliśmy o świetle na plaży  
wtuleni w siebie, niczym białe chmury nad nami w  
błękitniejące przestrzenie. Nasz dom - stary, wiklinowy kosz -  
dawno spłonął w słońcu, a przecież ciągle znajduję w nim schronienie

i teraz, gdy nie można iść już dalej przed siebie,  
ani tym bardziej zawrócić.

Kiedy nastąpiła Pi - egowata, ruda dziewczyna, natychmiast obdarła  
ze mnie wstyd jak skórkę kubańskiej, łykowatej pomarańczy  
z której przez wiele wiosennych nocy wysypywaliśmy razem pestki.  
Wspominam Pi, gdy wschodzą na nocnym niebie i krążą innym  
te planety naszych minionych, słodkich uniesień.

Ale kochając się w po-literowanych przez czas kobietkach  
a potem kobietach, przygotowywałem się tylko.  
Ćwiczyłem zmysły na poznanie tej ostatecznej,  
czekałem na swoją Omegę, przy której  
zapomina się wszystkie miłości przed nią  
i patrząc w rozgwieżdżoną noc, widzi się po prostu noc,  
podsuwając do ucha muszlę, słyszy się szum,  
a nie dalekie wołanie rozpalonego w zachodzącym słońcu  
wiklinowego kosza.

Toteż, kiedy poznałem Zofię, pomyślałem w pierwszej chwili,  
że jest to ostania kobieta w moim alfabecie miłości - Omega  
wszelkich namiętności, kres uczuć i odchodzenia od zmysłów.  
Tymczasem z biegiem lat Zofia zaczęła oddalać się, bywały  
wieczory podczas których nieobecniła nagle między słowami i coraz  
bardziej niedorzeczniła we mnie, a ja nie robiłem nic, żeby zawrócić  
ją ku sobie. Niekiedy chwytałem w takich chwilach za pióro  
i broniąc się przed porażką ostatniej miłości oddawałem  
resztki mojej już nie mojej Zofii kartkom,  
aż wreszcie pograżyła się w myślach nie o mnie zupełnie i znikła,

jak znika w ustach słodka mandarynka pozostawiając po sobie

jeszcze przez chwilę intensywny zapach w powietrzu.

Jakby mały owoc stworzony został właśnie po to, by wyrazić wonią

kiedy już go nie ma, istnienie całej ziemskiej atmosfery.

Oddycham Zofią czekając na swoją prawdziwą Omegę

i coraz niecierpliwiej, z niepokojem spoglądam na zegarek.

Niekiedy, tak jak dzisiaj, w przeczuciu straszliwej omyłki

otwieram terminarz i kartka po kartce sprawdzam, czy

jednak na którejś jej - czasem - nie przegapiłem:

.

Zofia chmurzy się

milczy

nosi na sobie

coraz wyraźniejsze ślady

włamania

.

[https://www.youtube.com/watch?v=IG3Y-CuvlrM&feature=youtu.be&fbclid=IwAR1HQ\\_uMDPcE47y8rWciMKNE8k1VmAi6w6nFQe1i8ve6yIB\\_mVvlpu11sXQ](https://www.youtube.com/watch?v=IG3Y-CuvlrM&feature=youtu.be&fbclid=IwAR1HQ_uMDPcE47y8rWciMKNE8k1VmAi6w6nFQe1i8ve6yIB_mVvlpu11sXQ)